11.06.2022, 11:32 Wersja do druku

Zdążyć powiedzieć wszystko

MOROZ
DO
SKRZYDELSKIEGO
SKRZYDELSKI
DO
MOROZA
instytut teatralny
FOT. MARTA ANKIERSZTEJN

O „To wiem na pewno", premierze Teatru Ateneum w reżyserii Iwony Kempy, rozmawiają Jakub Moroz i Przemysław Skrzydelski

Skrzydelski: Przyznaj się. Tak najbardziej to lubisz spektakle o zwykłym życiu.

Moroz: Owszem, bo tak zwanego teatru politycznego w polskim wydaniu mam już powyżej uszu. Tym bardziej że to najczęściej sztuka pseudopolityczna, pełna buńczucznych haseł, ideologicznego zacietrzewienia i środowiskowej wsobności, pozorującej wgląd w rzeczywistość.

Skrzydelski: Zatem w warszawskim Ateneum obejrzeliśmy coś w sam raz dla ciebie. „To wiem na pewno" Andrew Bovella w reżyserii Iwony Kempy nie epatuje walką klas ani ras. To kameralny dramat o sprawach rodzinnych. Choć niełatwo wyciągnąć taki wniosek od razu, bo pierwszych trzydzieści, czterdzieści minut na to nie wskazuje.

Moroz: Oj, zupełnie nie wskazuje. Muszę przyznać, że już byłem pewien, że tak będzie do końca. To znaczy, że zobaczymy nieco naiwną historię, w dużej mierze opierającą się na strukturze serialowych scenariuszy. Dojrzałe małżeństwo w średnim wieku, ich dwie córki, dwóch synów, i ich skrywane tajemnice, które pokazują tylko, jak bardzo wszyscy się okłamują, udając rodzinne reguły gry.

Na początku młodsza córka (Waleria Gorobets), nastolatka, opowiada nam o swojej przygodzie, a właściwie o dopiero co rozpoczętej dorosłości: że z zapartym tchem zwiedza Europę, że podrywa ją przystojniak i że po kilku upojnych dniach ją okrada. Ale na szczęście młódka może zawsze wrócić do bezpiecznej przystani, w której powitają ją kochający rodzice.

Skrzydelski: Jej powrót daje nam okazję do poznania pozostałych bohaterów. Najpierw rodziców (Agata Kulesza, Przemysław Bluszcz) wydających się dobraną parą, a także dość zgodnego rodzeństwa: siostry (Paulina Gałązka) i braci (Jan Wieteska, Paweł Gasztold-Wierzbicki). Nieoczekiwany, nieco przypadkowy, zjazd rodzinny tchnie atmosferą sympatycznej rutyny, tak oczywistej, że - zdaje się - nic nie może jej zaprzeczyć. Wprawdzie wszystkie pociechy wyfrunęły już z gniazda i zdarza im się przeżywać prywatne smuteczki czy dramaciki, jednak przecież pod koniec dnia, po pracy, zawsze mogą na chwilę wpaść do dawnego domu i pokrzepić się obecnością matki i ojca. Ci zaś na zbliżającej się emeryturze będą już tylko konsumować owoce szlachetnego trudu swego żywota. I tu pojawił się problem: w tych nieco banalnych pierwszych kwadransach wyczuwa się coś rodem z kina familijnego albo właśnie seriali z platform streamingowych.

fot. Krzysztof Bieliński / mat. teatru

Moroz: To takie teatralne „Friends”?

Skrzydelski: Aż tak? Nie przesadzajmy. W każdym razie według mnie Andrew Bovell zastawia na nas pułapkę: celowo podsuwa łatwe tropy, aby potem zmienić tonację.

Moroz: Jednak zaznaczmy też, że tę pułapkę udaje się wyreżyserować także Iwonie Kempie. Zespół Ateneum pod wodzą Kempy wydobywa ten aspekt tekstu - najbardziej wzbudziła moje uznanie niejednoznaczność, z jaką potraktowano moralne i życiowe dylematy. Konflikty między rodzicami a dziećmi rozpędzają się za każdym razem bardzo gwałtownie, ale racje rozłożone są niemal po równo. Jako widz nie miałem poczucia, że ktoś z bardziej lub mniej nachalnym dydaktyzmem czy zapalczywością podpowiada mi rozwiązanie sytuacji. Nie, spór zarysowano wyraźną kreską, ale to ja mam się zastanowić, gdzie tak naprawdę tkwi problem i kto ponosi odpowiedzialność za jego zaistnienie. Same te problemy są zresztą bardzo bolesne, mocne, zawstydzające, więc w pewnym momencie dramat zaczyna oddziaływać na nas w zupełnie inny, intensywny sposób. Taka niezapowiedziana nagroda.

Skrzydelski: Muszę ci się przyznać: kocham w teatrze chwile, kiedy powoli staje się jasne, że przedstawienie zmienia swoje oblicze, że przenosi nas na inny poziom. To frajda, haczyk, na który ja na pewno się łapię. Lądujemy tuż przy granicy doświadczenia tragicznego. Oczywiście nie o to chodzi, by porównywać tekst Bovella do wygórowanych wzorców, lecz o to, by podkreślić, że dostajemy porządny temat do przemyśleń. Dodatkowo to temat każdemu bliski. Przepraszam za banał, lecz po wyjściu z tego spektaklu rodzice powinni pogadać z dziećmi. I vice versa.

fot. Krzysztof Bieliński / mat. teatru

Moroz: Ważne jest to, że konfrontujemy się z pytaniami, które dziś wielu odczuwa jako niełatwe i wymagające, jak choćby: czy ze względu na dzieci trwać w małżeństwie, w którym jest się nieszczęśliwym? Albo czy z powodu rodzinnej lojalności zawiesić zasady i pomóc dziecku, które dopuściło się znaczącego oszustwa? W pobieżnym streszczeniu brzmi to może jak dylematy prezentowane w magazynach reportażu, tyle że Bovell nie kreśli fałszywych nut sentymentalizmu.

Skrzydelski: Choć może nieco przeszkadza mi to, że natłok zdarzeń związanych z dziećmi wydaje się wręcz nieprawdopodobny.

Moroz: Istotne, że to działa. Widzowie mają szansę wybrać choćby jedną z historii i przeżyć ją w sobie. Akcja sceniczna jest z założenia rodzajem kondensacji życia.

Skrzydelski: Jakkolwiek by było, przemawia aktorstwo. Począwszy od Agaty Kuleszy, której opiekuńcza, ale i nieznosząca sprzeciwu obecność najsilniej ciąży na atmosferze domu. Matka Kuleszy jest zaradna, obdarzona niebywałą intuicją. To prawdziwa strażniczka ogniska domowego, ale w wersji stanowczej: uważa wręcz, że o życiu wie wszystko i rodzina powinna tylko słuchać jej słów. Jednak tak jak inni skrywa sekret.

Moroz: Przemysław Bluszcz gra z kolei postać ojca o szlachetnej prostoduszności. Emanuje męskim ciepłem i pewną dozą uroczej naiwności. Jednak z biegiem czasu właśnie te cechy zostają wystawione na próbę. Zostajemy z pytaniem: czy ta uczuciowa prostota nie wiąże się także z bezradnością wobec świata? Czy nie utrudnia dostrzeżenia jego złożoności? Czy nie owocuje nadmierną surowością, a nawet bezwzględnością?

Skrzydelski: Bluszcz mi zaimponował. Bo we wspomnianych już niełatwych pierwszych scenach odniosłem wrażenie, że nie potrafi się odnaleźć, złapać rytmu. Za to już później walczy o swoją postać z niebywałym poświęceniem, znać, że chce się odsłonić jeszcze bardziej, że zdania, które wypowiada, mają dla niego swoją wagę. I w tych końcowych sekwencjach odnosi zwycięstwo. Pięknie na to pracuje.

No i reszta ekipy – grają może mniej pewnie, lecz warto zauważyć, że każdej i każdemu udaje się pokazać bohaterów przełamanych, naznaczonych psychiczną niekonsekwencją. Wywołuje to współczucie. Trzeba i za to docenić aktorów, bo ów efekt nie zostaje osiągnięty na skróty.

Moroz: Dopominam się jeszcze o wyróżnienie Pauliny Gałązki. Ma w sobie zarówno kobiecą tęsknotę za uczuciowym spełnieniem, jak i nieprzyjemny chłód. To napięcie bardzo mi się udzieliło, do tego stopnia, że miotałem się w ocenie pomiędzy jej zrozumieniem a odsądzeniem od czci i wiary.

Skrzydelski: W tym kontekście trzeba też znów wspomnieć o Agacie Kuleszy, bo przecież gdy dowiaduje się o wyborze córki, orientujemy się, że tak naprawdę lata wcześniej chciałaby pójść odważną ścieżką, którą wybrała córka, jednak nie miała na to odwagi. Kulesza zaznacza to znakomicie.

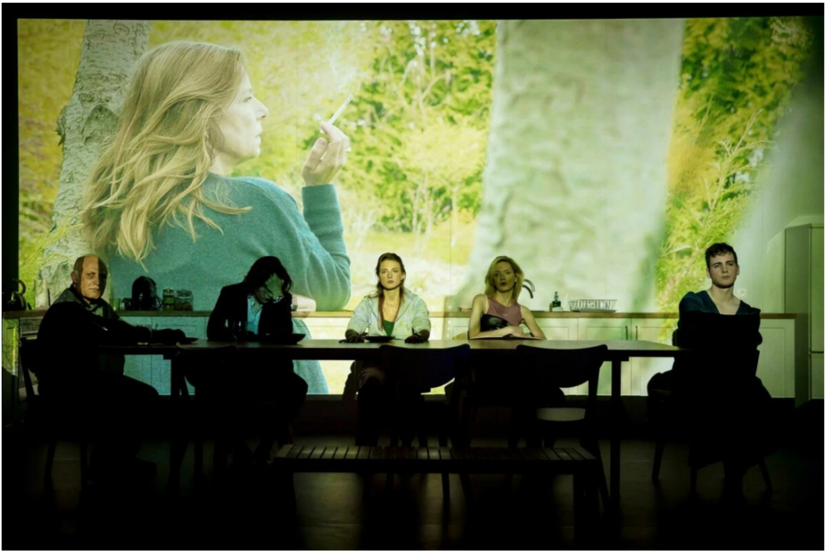

fot. Krzysztof Bieliński

Moroz: Nie do końca przekonuje mnie jednak przestrzeń. Scenografia Joanny Zemanek, imitująca dom i ogród, sprawia wrażenie nieco niedbałej, jakby nie w pełni dopasowanej do rozmiarów nowej małej sceny Ateneum. Nie przekonują mnie także projekcje wideo między poszczególnymi sekwencjami. Sprawiają niekiedy wrażenie pustych znaków, zapełniających tylko czas i dających oddech aktorom.

Skrzydelski: Nie zgadzam się. Projekcje uzupełniają tę przestrzeń, bo ona ma być i realistyczna, i funkcjonalna (co widać w nieco umownym podziale na kuchnię i ogród). To ekran pamięci, unaoczniający nam czas szczęścia sprzed katastrofy, która dopiero wydarza się na naszych oczach.

Moroz: Ale nie zamierzasz chyba bronić nie najlepiej niestety dobranej muzyki z repertuaru jednej z polskich wokalistek rockowych. Sztuczny patos i najzwyklejszy banał.

Skrzydelski: Tu zgoda. Musiałem zresztą ją wyprzeć z pamięci, a teraz aż się zdziwiłem, że mówisz o muzyce. Jednak zostawmy to. Jeśli mamy szansę obejrzeć teatr, który skłania nas do częstszych i głębszych rozmów w gronie najbliższych – a zawsze może się okazać, że jest na nie za późno - to został osiągnięty ważny cel. A Iwona Kempa ten cel osiąga w Ateneum nie pierwszy raz. Jej „Ojciec" Floriana Zellera (2017) dotykał bolesnych spraw starości, odchodzenia – i reakcji na to ludzi wokół. Marian Opania zrobił w tamtym przedstawieniu jedną ze swoich ról życia.

Moroz: „To wiem na pewno" to teatr potrzebny. Bez dwóch zdań. I w jakimś sensie nawet prowokacyjny.

Skrzydelski: To chyba dobrze? Ty kochasz prowokacje. Oczywiście tylko w teatrze.

***Ocena:* 4 - / 6**